

Barbara Stankiewicz

# Rachunek nieprawdopodobieństwa

Gdyby każdy rok życia Bolesława Gleichgewichta dostał jedną linijkę, to powstałby tekst składający się z 94 linijek.

Pięć linijek dotyczyłoby Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, bo na tej uczelni wykładał studentem matematykę przez pięć lat (1963–1968).

Z linijek w Wikipedii: „Bolesław Gleichgewicht (ur. 30 kwietnia 1919 w Warszawie) – doktor nauk matematycznych, zainteresowany różnymi aspektami algebry oraz dydaktyki matematyki. Od 1942 do 1945 był w Armii Czerwonej, potem studiował matematykę na Uniwersytecie w Odessie (ukończył w 1950). W latach 1946–1956 był członkiem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W 1956 wrócił do Polski. W 1961 uzyskał doktorat na Uniwersytecie Wrocławskim. Po wydarzeniach marcowych w 1968 zwolniony z pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Pracownik naukowo-dydaktyczny i docent Uniwersytetu Wrocławskiego. Związany z ruchem opozycyjnym w czasach PRL, członek Towarzystwa Kursów Naukowych. W III RP należał do Ruchu Obywatelskiego Akcji Demokratycznej, Unii Demokratycznej (przewodniczył komisji rewizyjnej tej partii) i Unii Wolności. Laureat nagrody im. Samuela Dicksteina w 1989. W 1999 odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (*w uznaniu wybitnych zasług w pracy naukowej i dydaktycznej*). Jest ojcem Aleksandra Gleichgewichta, współpracownika Komitetu Obrony Robotników i KSS „KOR”, działacza SKS we Wrocławiu, od stycznia 1981 etatowego pracownika Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „S” we Wrocławiu, a następnie Zarządu Regionu Dolny Śląsk, członka redakcji tygodnika „Solidarność Dolnośląska”, redaktora naczelnego Radia „Solidarność” we Wrocławiu, internowanego w stanie wojennym, dziś przewodniczącego Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu).

A mniej encyklopedycznie: szczęśliwe dzieciństwo w warszawskim mieszkaniu z fortepianem i służącą Cesią, dwa lata studiów na Uniwersytecie Warszawskim, wybuch II wojny światowej, a potem siedemnastoletnia, samotna tułaczka po Związku Radzieckim (w tym i praca w charakterze *czarnoraboczego* w Łucku, i pobyt w specobozie NKWD, i wojenna służba w pułku artylerii przeciwlotniczej, i powojenne studia na Uniwersytecie w Odessie, a po nich praca nauczyciela), poodwilżowy powrót z rodziną do Polski, praca na Uniwersytecie Wrocławskim, działalność opozycyj-

na w czasach PRL, wreszcie stan wojenny i fotografia Bolesława Gleichgewichta w gazetach, opatrzona nagłówkiem: *List gończy*.

## O pamięci

– Zawsze miałem fenomenalną pamięć. To dla mnie też dziwne trochę, ale zapamiętałem setki nazwisk, przypadków, szczegółów. I pamiętam je do dziś. Moja żona Jewdokija, Dina, z domu Odryńska, zmarła dokładnie rok temu, ona w swoim czasie też dużo pamiętała. Ale nawet jak była młoda, nie pamiętała nazwisk dowódców pułku, dywizji. Ja pamiętam wszystko, przykre momenty też, ale usunąć z pamięci nie chciałbym niczego.

W specobozie w Tambowie (później przewieźli nas do Rady), zdarzało się, że chleb rozdawali dopiero wieczorem, po ciemku. Próbowaliśmy go, jak zwykle, dzielić według listy. Ale nic nie było widać! Wtedy ja recytowałem z pamięci prawie sto nazwisk, po kolei, od Ałpatowa po Jakowlewa. Stałem się wtedy najpopularniejszym człowiekiem na ziemi, bo w innych oddziałach dochodziło przy tym dzieleniu do prawdziwych awantur. Ja, żeby zapobiec ewentualnym machlojkom, wywoływałem też niekiedy nazwiska w odwrotnym porządku, od Jakowlewa do Ałpatowa, albo jeszcze inaczej – jednego z początku, jednego z końca listy. Wariantów było kilka. No cóż, pamięć miało się wtedy dobrą.

A twarzy mojej mamy prawie nie pamiętam.

Mój ojciec Adam był inżynierem, studia kończył w Niemczech, przed I wojną światową. Był trzynastym, najmłodszym dzieckiem swoich rodziców. Pochodził z niezwykle bogatej rodziny, niestety wkrótce po śmierci dziadka Kongresówkę odłączono od Rosji, Polska straciła rynki zbytu. W kryzysie z 1929 roku utraciliśmy wszystko, staliśmy się bardzo niezamożnymi ludźmi.

Matka moja, z domu Majranc, pochodziła z inteligentnej rodziny. Studiowała w konserwatorium, nie wiem, czy je ukończyła, ale pięknie grała na fortepianie, więc ja od dziecka byłem otoczony muzyką, miałem zresztą świetny słuch muzyczny (31 stycznia 1937 r. jako maturzysta na zabawie sylwestrowej wygrałem konkurs tańca, za tango, nagrodą była bombonierka). Mama kończyła rosyjskie gimnazjum, świetnie władała rosyjskim, francuskim i niemieckim, ojciec – rosyj-

skim i niemieckim. Jej ojciec zmarł na raka krtani, jej matka na raka macicy, więc moja matka całe życie bała się raka.

A zginęła w komorze gazowej.

Oboje znali jidysz, ale bardzo pilnowali, żebym ja go nie poznał. Bali się, że będę miał akcent żydowski. Wyznawali religię mojżeszową, ale nie byli religijni, nie chodzili do synagogi.

Rodzice nie chcieli mnie puścić do szkoły powszechnej, od razu do gimnazjum – przez trzy lata przygotowywała mnie do tego moja znacznie starsza kuzynka Maria Szejman, bardzo wykształcona, miłośniczka Anglii. Wywarła na mnie ogromny wpływ. Drugim takim człowiekiem był kuzyn Józek Holcman, bardzo uzdolniony matematyk, u jego ojca przechowywałem się później trochę w Ostrogu, w czasach mojej tułaczki po Związku Radzieckim. On skierował moją uwagę na astronomię, już jako dziecko mnóstwo wiedziałem o planetach, gwiazdach.

Gimnazjum im. Mikołaja Reja, jedno z najlepszych w Polsce (prowadzone przez zbór ewangelicko-augsburski), pracowali tu autorzy książek, podręczników, chyba dwóch docentów... Dyrektor gimnazjum Adolf Rondthaler był pastorem. Uczył tam i profesor Edmund Bursche, przewodniczący Związku Protestantów (córka Burschego została później żoną profesora Edwar-da Marczewskiego, który pojawiał się w moim życiu wielokrotnie). Obaj zostali wykończeni przez Niemców w obozie, bo nie chcieli podpisać volkslisty. Moim ulubionym nauczycielem był Zygmunt Szeller, wujek pani Marczewskiej, za jego sprawą zająłem się chemią, byłem nawet przewodniczącym kółka chemicznego. Z czasem miejsce chemii zajęła fizyka. W chwili wybuchu wojny byłem po drugim roku fizyki na Uniwersytecie Warszawskim.

Gimnazjum było bardzo tolerancyjne (choć antysemityzm też był, ale ja się tam czułem bardzo dobrze), nauczyło mnie patriotyzmu, ale nie tego hurapatriotyzmu, nacjonalizmu, to naprawdę była miłość do tego kraju, do tego języka. Ja bardzo kocham język polski – jak po siedemnastu latach wróciłem wreszcie do kraju i usłyszałem polską mowę na punkcie repatriacyjnym, pomyślałem: jakież to piękny język! Dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy.

To, czym nasiąknąłem w gimnazjum, odezwało się kilka lat później, w radzieckim obozie, kiedy razem ze współwięźniem Lolkiem śpiewaliśmy *Boże coś Polskę* (*Polacy moliatsa*, modlą się – ryczeli wtedy ze śmiechu Rosjanie). Pamiętam, wtedy postanowiłem, że jak kiedyś wrócę do Polski, przejdę na katolicyzm.

Dlaczego nie na ewangelicyzm? Ja całe życie byłem w mniejszości, już miałem tego dość.

## O ucieczce na Wschód

– Na Uniwersytecie Warszawskim w 1937 r. wprowadzono ławki gettowe: studenci, którzy byli obywa-

telami polskimi wyznania mojżeszowego musieli siedzieć podczas wykładów po lewej stronie sali. Myśmy nie chcieli, to było poniżające. Słuchaliśmy wszystkich wykładów na stojąco, czasem sześć, osiem godzin. Przychodziły bojówki ONR-owskie, ośmiu silnych chłopów (ONR istnieje i dziś, jak ja to słyszę, zimno mi się robi), i biły nas, zmuszając do siadania albo do wyjścia z sali. Napadali na mnie i na dziedzińcu. Po listopadzie 1938 roku w ogóle przestałem chodzić na zajęcia. Nie chodziłem, uczyłem się z konspektów kolegów, podręczników, skryptów. Jak Niemcy weszli do Warszawy, uniwersytet zamknęli. Tymczasem otworzono uniwersytet we Lwowie. Zrozumiałem: moja droga jest na wschód. Rodzice bardzo nie chcieli, byłem przecież ich jedynym synem! Ojciec powtarzał: *kto w czasie pierwszej wojny uciekał na wschód, nie wracał*. Ja przekonywałem: tu mogą dziać się rzeczy straszne! A ojciec na to: *Ja wiele lat mieszkałem w Niemczech, znam Niemców, to naród wybitnie kulturalny*.

Nie wiedział ojciec, że skończy w komorze gazowej.

Któregoś dnia, jesienią, moi rodzice wyszli z domu, do przyrodniej siostry mojej matki, a nasze mieszkanie w tym czasie przetrząsnęli Niemcy w poszukiwaniu ukrywających się żołnierzy (na stole leżało 150 karykatur Hitlera, których nie zdążyłem spalić, nawet ich nie zauważyli). Rodzice wrócili zupełnie zgębnie-



Bolesław Gleichgewicht w radzieckim mundurze

ni. Widzieli, jak na ulicy niemieccy żołnierze strzygli brody starych Żydów.

Kiedy postanowiłem, że jadę do Lwowa, obowiązywał już zakaz wyjazdu z Polski. 1 listopada 1939 r., licząc na świąteczny bałagan, nielegalnie, wraz z innymi uciekinierami, przekroczyłem granicę na Bugu. Wpadliśmy w ręce Rosjan, którzy z miejsca uznali nas za *szpionów*, mnie dodatkowo – za *szpiona-pijanicę*. Bo w manierce, którą matka dała mi na drogę, był wermut. Ten wermut to zasługa naszej służącej Cesi, która codziennie wyprawiała się po wodę aż na cmentarz powązkowski, gdzie stała w dużej kolejce, bo wody brakowało w całej Warszawie. Któregoś dnia, zamiast wody, przyniosła dwa wiadra wermutu Cinzano, który zatankowała w zbombardowanej komorze celnej naprzeciwko naszego domu. Odtąd zaczęły się w naszym domu dziwne dni. Matka oszczędzała wodę na mycie, więc zamiast herbaty piliśmy wermut. Byliśmy na ciągłym rauszu i ciągle spragnieni, bo wermut był słodki. Niespecjalnie też pasował do słonych śledzi...

Jako *szpiona-pijanicę* Rosjanie przekazali mnie Niemcom, z ich aresztu jakimś cudem udało mi się uciec. I tak zacząłem swoją samotną wędrówkę po Związku Radzieckim.

Wyszedłem z domu w zimowym palcie, kupionym u „Celiba” za Żelazną Bramą, gdy byłem uczniem VII klasy gimnazjum. Nosilem je przez cztery przedwojenne i dwie wojenne zimy (przenicował mi je później krawiec w Wierzchowie). Na nogach miałem turystyczne buty firmy Bata (po roku naprawiał je szewc Leontij Marczuk w Wierzchowie). A w połowie listopada 1941 roku, w Otróżce, kopałem rowy w łapciach z łyka (zrobił mi je wieśniak z Syberii).

Latem 1941 r., na bazarze w Biełgorodzie, ukradli mi portmonetkę kupioną w Zakopanem. Poczulem, że zerwała się jeszcze jedna nić łącząca mnie z przeszłością. A dwa lata później, w specobozie, ukradli mi ostatnie pamiątki z mojego warszawskiego życia: miśczkę i pędzel do golenia.

To było straszne: samotny dwudziestolatek, jedynak z domu, nieprzygotowany do życia, w obcym kraju, w oceanie wojny światowej. Potworny głód. Odmrożenia (miałem wrzody z awitaminozy, a na prawej nodze ślad po odmrożeniu mam do dziś, aż się dziwię, że tylko jeden). Później obóz. Nie załamałem się, ale byłem bliski.

Już mi się nie śnią te obrazy.

Wszy gryzły mnie przez całą wojnę. Pewien chłop, którego w 1939 roku Rosjanie też zatrzymali za naruszenie granicy (przewieźli nas wszystkich do komendantury straży granicznej w Szepietowie), wytłumaczył mi: pchły biorą się z piasku, wszy ze zmartwień, a pluskwy z pierdzenia... Musiałem mieć dużo zmartwień. Ale w to wierzyła też moja gospodyni w Łucku, osoba wykształcona. Pluskwy też poznałem, zwłaszcza pod koniec wojny. I później na studiach, w akademiku... Pcheł jakoś nie miałem.

Wszy to jest prawdziwe nieszczęście.

## O śmierci rodziców

– W końcu marca 1940 r., byłem wtedy w Łucku, przyszła od rodziców pierwsza kartka pocztowa. U góry z lewej strony przedwojenne hasło: *Telefon zaoszczędza czas i pieniądze*. Z prawej znaczek z Hindenburgiem. Na poprzedniej cenie znaczka nadruk: *30 Groschen*. Na napisie *Deutsches Reich* nadruk: *Deutsche Post Osten*. Pieczętka: *Warschau NW 41*.

Ostatnią wiadomość, datowaną 15 maja, dostałem 19 czerwca 1941 r. Nie była to już *kartka pocztowa* lecz *Postkarte*. Na znaczku napis: *Generalgouvernement*. W lewym górnym rogu też coś nowego: prostokątna pieczętka z napisem *Judenrat Warschau*. Absender, czyli nadawca, już nie Maria i Adam, lecz Mindla i Abram Gleichgewicht. Adres też się zmienił. Nie Dziśka 25, gdzie mieszkaliśmy przed wojną i skąd otrzymywałem listy, lecz Miła 64.

To była kartka z getta.

Listy od rodziców to moja najcenniejsza, jedyna po nich pamiątka, czytałem je po raz kolejny niedawno, ze łzami w oczach. Nie pozostała po nich nawet fotografia. Ojca twarz dobrze pamiętam, matkę gorzej, wiem, że była ładna. Ojciec – łysy, jak ja. To byli bardzo dobrzy, mili ludzie, oni nic złego nikomu nie zrobili. Ojciec był wielkim entuzjastą kultury niemieckiej, matka też biegle po niemiecku mówiła. To jest przerażające.

Ja długo nie wiedziałem, że nastąpił Holokaust. Przez całą wojnę byłem pewien, że wrócę do domu, ale na początku lat 50. straciłem nadzieję. Dotarło do mnie, że moi rodzice nie żyją. Po powrocie do Polski szukałem ich przez Czerwony Krzyż i przez gminy żydowskie. Tymczasem odnalazł się w Kanadzie mój kuzyn Adam, który ocalał, był w getcie, potem po aryjskiej stronie, potem w Oświęcimiu. On mi napisał: *Widywałem twoich rodziców w getcie, ojca widziałem po raz ostatni we wrześniu 1942 r.* (wtedy była likwidacja getta). *Wyglądał jak starzec, nie miał pracy, matka była z nim, jedynym jasnym punktem w ich życiu była radość, że ty uciekłeś.* Później odnalazłem moją ciotkę Idzikowską, żonę sanacyjnego posła Edwarda Idzikowskiego. Od niej się dowiedziałem, że moja matka zmarła na tyfus.

Jak ja się ucieszyłem, że na tyfus, a nie w komorze gazowej!

Ale to się okazało nieprawdą. Nie wiem dokładnie, ale myślę, że rodzice zginęli w Treblince, bo jak była likwidacja getta w 1942, Żydów wywożono głównie do Treblinki. Byłem tam dwa razy, potworne wrażenie, byłem też w Majdanku i Oświęcimiu.

Są rzeczy, o których myślę ze spokojem. Ale nie mogę ze spokojem myśleć o tym, jak zginęli moi rodzice. Jak ich pędzili do tej komory, jak ich gazowali.

Niestety, prawie cała moja rodzina wyginęła.

Ale w historii dziwne rzeczy się dzieją. Opowiem pani coś, co brzmi ogromnie niewiarygodnie.

Heinrich Himmler, szef SS i gestapo, twórca obozów koncentracyjnych i obozów zagłady, chyba naj-

większy oprawca hitlerowski (ale Jeżow i Beria byli wcale nie mniejszymi zbrodniarzami), miał dwóch braci. Starszego Gerharda i młodszego Ernesta. Ernestowi urodził się syn, który był chrześniakiem i ulubieńcem Heinricha Himmlera. Temu chrześniakowi urodziła się córka, Katrin Himmler. I ta oto Katrin Himmler, stryjeczna wnuczka Heinricha Himmlera, wyszła za mąż za mego stryjecznego wnuka Amira, którego ojciec Zygmunt, mój kuzyn, mieszka w Izraelu!

Więc mam w rodzinie Himmlera.

Bo Zygmuntowi, jego żonie i dzieciom udało się przeżyć okupację, zamieszkali w Izraelu. Jeden z ich synów, Aleks, ożenił się z Żydówką z Polski, o nazwisku... Hitler. Urodzili im się trzej synowie. Najstarszy z nich, Amir właśnie, wyjechał na studia do Niemiec. Tam poznał Katrin Himmler. Czyli: wnuk pani Hitler (to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk) ożenił się z autentyczną stryjeczną wnuczką Himmlera. Mają synka Joszke, czyli Josifa, mojego stryjecznego prawnuka. Czy to nie jest niesamowite?

Katrin to wspaniała dziewczyna. Nienawidzi nazizmu. Napisała o swojej rodzinie książkę *Himmler i jego bracia*. Nie zmieniła nazwiska, dalej nazywa się Himmler. Jej mąż Amir natomiast nie nazywa się Gleichgewicht, bo w Izraelu niemieckie nazwiska były bardzo źle widziane, tylko Gilan – takie nazwisko przyjął jego dziadek, a mój kuzyn, Zygmunt.

Gdyby Himmler miał grób, chyba by się w nim przewracał.

## O wojnie w radzieckim mundurze

Do specobozu NKWD wsadzili mnie za to, że napisałem o przyjęciu mnie do armii Andersa. Ale jakoś wydobyłem się, potem trafiłem do pułku artylerii przeciwlotniczej, początkowo jako kierowca. Ale jak zastąpiły nas za kierownicą kobiety (wśród nich moja przyszła żona), zostałem celowniczym, potem dowódcą działowym, w końcu dowódcą plutonu, jako sierżant. To ja napisałem dla sztabu armii instrukcję obsługi szwedzkich dział Bofors, mało brakowało, a stanąłbym za to przed plutonem egzekucyjnym. Moja instrukcja była całkowicie sprzeczna z oficjalną instrukcją otrzymaną ze sztabu głównego artylerii, a podpisaną przez generała lejtnanta. A ja jestem przecież młodszy sierżant, i to z Polski, więc budzi się niedowierzanie – inne dane ostrzału, na wysokość, odległość... Dane taktyczne, to jest groźne. Kontrwywiad zaczyna bywać na naszej baterii, niejaki starszy lejtnant Korob, swolocz i gnida niesłychana. Im bardziej podejrzliwy, tym bardziej słodki. Mówi mi: *Gleichgewicht, moj drug*. Potem mówi: *družok*, a na końcu: *družoczek*... To zdrobienie było już naprawdę niebezpieczne. Tymczasem przychodzi ostateczna wersja instrukcji, i to ze sztabu generalnego artylerii Związku Radzieckiego, podpisana przez głównego marszałka artylerii Nikołaja Nikołajewicza Woronowa. *Toczka w toczkę* jak moja! Albo

spisali, albo obliczyli uczciwie. A tu przychodzi Korob, mówi: *Zdrastwujtie Gleichgewichtoczek, moj družoczek*, rączkę oślizgłą podaje: *Ja mam do ciebie prośbę, wykonasz?* Domyśliłem się o co chodzi: werbuje mnie na *seksota*, czyli tajnego współpracownika, *siekrietnowo satrudnika* (ja przez długi czas myślałem, że to chodzi o *seksotkę*, czyli dziewczynę pewnego typu). Tymczasem on mnie pyta, czy nauczę go tańczyć tańce zachodnioeuropejskie? A ja tańczyłem znakomicie. Przychodził do mnie regularnie ten tępak, ja go uczyłem. Tango, fokstrot, slow-foksa i bostona się nauczył. Dowódcę plutonu Piererwina też nauczyłem tańczyć. Nauczycielem tańca byłem także w Odessie, na studiach.

Jak się wojna skończyła miałem już 26 lat, a ciągle byłem sierżantem. Dwa razy starałem się o przyjęcie do szkoły oficerskiej, nie przyjmowali, bo pochodzę z Polski.

Tak to już ze mną było: kiedy trzeba, przeszkadzało mi pochodzenie żydowskie, kiedy trzeba – polskie. Po studiach na aspiranturę mnie nie przyjęto – bo Żyd. Do wojskowej szkoły – nie, bo Polak. Kiedy naczelny inżynier zakładów budownictwa wojennego okrętów w Zielonodolsku, w Tatarii, werbował do pracy matematyków, nie przeszkadzało mu ich żydowskie pochodzenie: wziął i Ginzburga z żoną, i Połonskiego. A mnie nie. Bo dla niego już nie byłem Żydem, byłem Polakiem.

## O głodzie

Ja nie byłem syty przez dwanaście lat. Ciągłe głodowałem. W obozie (trafiłem tam 31 stycznia 1942 r., za to, że chciałem iść do armii Andersa) dawali nam 35 dag chleba i 2 talerze wodnistej zupy.

Jak często ja śniłem i myślałem o chlebie! Nigdy o białym, zawsze o razowcu z czarną, wypieczoną skórką, chrupiącą w zębach, świeżą, pachnącą. Leżąc na narach, układałem sobie nieraz menu. Wymyślałem śniadania, drugie śniadania, obiady, podwieczorki i kolacje. Wszystko to wielodaniowe, ale proste i pożywne, żadnych frykasów.

Po wojnie, jako student matematyki na Uniwersytecie w Odessie (*fizyko-matematycznej fakultet*), wiecznie niedojadałem. Uratowała mnie mamałyga. W Nikołajewce, gdzie na stałe mieszkalem (w czasie tej mojej tułaczki pracowałem tam jako nauczyciel), posadziłem kukurydzę, na początku studiów pojechałem ją zebrać, przywiozłem ciężarówką do Odessy. Zmagazynowałem ją u mojej uczennicy Elli Serbiny, na ulicy Ostrowidowa. Od czasu do czasu tam przychodziłem, huskałem i zabierałem. A na ulicy Liwadnej 22 był nielegalny młyn: małe, kolektywne mieszkanko, w pokoju piec kaflowy, a w piecu maszynka do mielenia, wysuwana. Z ośmiu kilogramów kukurydzy zabierali dwa kilogramy, za usługę. Bardzo „muzykalny” to był dom, bo żeby zagłuszyć hałas młynka, puszczano głośną muzykę z płyt.

Przepis na mamałygę: do garnuszka z wrzątkiem wsypuje się mąkę, robi się tzw. *kom*, bryłka, która rozparza się, wtedy rozcieramy ją wálkiem, żeby pochłaniała wodę. To była kolacja. Z rana szedłem na tzw. śniadanie do stołówki, prawie nic. Głód. Obiady były cienkie, mięsa chyba w ogóle nie widziałem, kasza, zupa... Kiedyś, pod koniec trzeciego roku studiów, skończyły mi się produkty, a miałem jeszcze dwa bardzo trudne egzaminy: z mechaniki teoretycznej, u niezwykle wymagającego profesora Wasilijewa i z teorii grup (algebra abstrakcyjna, moja ulubiona później specjalność). A ja już trzeci dzień nie jadłem, bo stypendium się spóźniało! Kupiłem sobie trochę witaminy B i ssalem ją, żeby zabić głód. Jakby tego było mało, na mojej ulicy akurat remontowali szyny tramwajowe – w głowie mi huczało! A tu przyjeżdża taki student zaoczny Jefsifiejew z Pierwomajska i pyta, czy mogę mu wykonać dwadzieścia zadań z różniczkowania funkcji. On był trochę tępy, to znaczy niezdolny, oczy wybaluszył, jak ja fiuuuu i rozwiązałem wszystkie. Podziękował, po czym otworzył kuferek. Chleb, masło, słonina, wędliny. I zaczął się obżerać. We mnie wszystko grało. Ale człowiek głodny jest niezwykle honorowy. Nic nie powiedziałem. A on: chcę panu podziękować, zapraszam do kina, na niemiecki film *Rigoletto*.

A potem tak się zdarzyło, że dostałem przydział do pracy w Pierwomajsku. I spotkałem go, mówię: *Jaki ja wtedy byłem głodny!* Ręce załamał: *Mnie do głowy nie przyszło. Czemuś nie powiedział?* A ja się wstydzilem. Taka jest psychologia człowieka głodnego.

## O studiach w Odessie

– Wybrałem matematykę. Bo pomyślałem, że do aspirantury mnie pewnie nie dopuszczą (od zakończenia wojny Żydów bardzo rzadko przyjmowano na aspiranturę, potem zaczęto ograniczać ich przyjęcia na uniwersytet), trzeba będzie uczyć w szkole, a fizyk w szkole to jest nieszczęście: te wszystkie eksperymenty... A mnie w tej fizyce i tak coraz bardziej interesowała matematyka. Tym bardziej, że na uniwersytecie odeskim fizyka była źle obstawiona, a matematyka, jak zaczynałem, była wspaniała. Wykładał wtedy jeden z największych współczesnych matematyków Mark Grigorjewicz Krein – niestety Żyd; jak go wyrzucili z uniwersytetu, chodziłem na jego seminarium z teorii stabilności do Wyższej Szkoły Morskiej, gdzie był kierownikiem katedry. Chodziłem potajemnie, bo wszyscy, którzy mieli z nim coś do czynienia, byli obserwowani. Z uniwersytetu wyrzucili go za kosmopolityzm (pod słowem kosmopolita kryło się: Żyd), a razem z nim całą szkołę wybitnych matematyków. Ocalał docent Rutman, młody, fenomenalnie uzdolniony. Pod jego kierownictwem zrobiłem pracę magisterską.

Też Żyd, jak ja. Niestety, w Odessie mieszkało wtedy bardzo wielu Żydów.

Na początku byłem studentem zaocznym, dojeżdżałem z mojej Nikołajewki, gdzie pracowałem jako nauczyciel (jak chciałem przejść na stacjonarne, nie chcieli mnie wypuścić, bo byłem dobrym nauczycielem). Ale zwolniłem się i przeszedłem. W ciągu dwóch letnich sesji zaocznych zrobiłem trzy lata, a potem przyjechałem na trzeci rok stacjonarnych i w ciągu dwóch lat zrobiłem resztą studiów.

Studia skończyłem z wyróżnieniem, tzw. czerwonym dyplomem. Wtedy uniwersytet już był marny. Mimo tego wyróżnienia nie chcieli mnie przyjąć na aspiranturę. Bo Żydów nie przyjmowano na aspiranturę. A ja miałem wpisaną narodowość żydowską. Ale miałem też drugie nieszczęście: narodowość polska. Przez dwa tygodnie nie podpisywałem *naznaczenia po труду*, a to był wielki grzech! Misza Kamiński, syn archireja, metropolity odeskiego, któremu też nadawali najgorsze przydziały, także nie podpisywał. Podpisałem w końcu do Bielajewki, małej wioski w rejonie odeskim – tam było miejsce dla fizyka. Szefowa kadr w wojewódzkim wydziale oświaty mi obiecała, że później dadzą matematykę w lepszym miejscu. Przypomniałem jej wkrótce tę obietnicę. Ona na to: *macie Bielajewkę. Uczyli was dialektyki: sytuacja się zmieniła, wtedy było tak, a dziś jest inaczej*. Ale wizytator dał mi w końcu *naznaczenie* do Pierwomajska, drugiego co do wielkości miasta, po Odessie. Wtedy po raz drugi zobaczyłem dialektykę w praktyce: wziął gumkę, wymazał Bielajewkę, wpisał Pierwomajsk. Przydział do ogromnej szkoły numer 4, za czasów carskich było to gimnazjum kupieckie.

## O śmierci Stalina i agonii stalinizmu

– W Rosji na początku nie było nastrojów antyżydowskich. Jeszcze trwała tradycja rewolucyjna, a Żydzi brali przecież udział w rewolucji. Dopiero pod koniec wojny wszystko się zmieniło. A jak przyszła słynna sprawa lekarzy, to zaczął się koszmar, drugi holokaust. W radiu nadano komunikat, że grupa dywersyjna lekarzy, jeszcze nie powiedziano, że to byli Żydzi, otruła Żdanowa i Szczerbakowa, a teraz próbowała otruć Stalina. A wszyscy byli wybitnymi profesorami z Kremla: Wowski, Etinger, Grinstein, Feldman, sama śmietanka... Niesamowita nienawiść zapanowała w narodzie, ożyły antysemickie nastroje, które drzemały tam zawsze, i trudno się dziwić przeciętnemu człowiekowi: lekarz, który truje pacjenta! Etinger zmarł załuczony podczas śledztwa, zabili ojca prof. Kogana, syn przeżył. Przeżył też Grinstein, a był krewnym moich znajomych z Odessy. Od nich wiem, że długo leczył oczy, bo wzrok miał uszkodzony podczas śledztwa: świecili mu w oczy reflektorem lotniczym. Czy pani wie, co to jest reflektor lotniczy? Można zamykać oczy, zaciskać powieki jak się chce, i tak nie pomaga, bo to światło przebija się dwanaście kilometrów w górę, gorąco od niego jest. Nie dawali im spać, i bili. Po-

dobno były już wyznaczone marszruty dla pociągów, które miały wywozić Żydów do łagrów.

I tu nagle, Bogu dzięki, Stalin umiera.

Lekarzy rehabilitują. A finał? Nadal trwał antysemityzm, choć już nie taki zajadły. Ale do lekarzy-Żydów nikt nie chodził się leczyć, bo *oni truli ludzi*. Niedaleko Pierwomajaska była wioska Wradiewka. We Wradiewce była lekarka, dentystka. Pojechała na urlop. Ktoś puścił pogłoskę, że do plomb zakładanych pacjentom wkładała... raka. Tłumy ludzi przyszły pod wydział zdrowia: *wyrwijcie nam te plomby! Ona uciekła!* Jakoś udało się tych ludzi uspokoić. Minęło trochę czasu, następna afera (tę nowinę przekazała mi niejaka Karpenko, nauczycielka ze szkoły w Pierwomajsku): do butelek z winem wkładali raka! Ja mówię: towarzyszeko, przecież to już odwołano! A odwołali oficjalnie, w radiu. Jak to usłyszałem, nie wierzyłem: po raz pierwszy w historii Związku Radzieckiego przyznali się do błędu! I wtedy od razu przestałem wierzyć w te bajki o Trockim, i inne. Pobiegłem do szkoły i mówię z radością dwóm nauczycielkom, że odwołane, a one dalej: *nieprawda, to są truciele!* Nie dało się ich przekonać. W końcu mówię: *to wy nie wierzycie NKWD?* Bardzo się zlekły. Tak się zaczęła odwilż.

## O powrocie do Polski

– W Pierwomajsku przepracowałem sześć lat, do XX zjazdu partii, który odmienił historię Związku Radzieckiego i moją prywatną historię, bo mogłem wtedy wrócić do Polski. Z żoną i dziećmi. (Rok po studiach – w maju 51 r. ożeniłem się, tam urodziły się nasze dzieci, było biednie, ale żona była świetną gospodynią, z niczego potrafiła wszystko zrobić. Rosjanka, ze strony matki Kozaczka, piękna kobieta, w Wielką Sobotę 7 kwietnia ub. roku dostała zawału. A w Wielką Sobotę prawosławną był jej pogrzeb. Po 40 dniach – panachida, nabożeństwo żałobne w soborze. Tak czcimy moją żonę, jak umiemy. Mój syn napisał w Gazecie Wyborczej: *była piękną i dobrą kobietą*. Cudownym człowiekiem).

To były najszcześniejsze dni mojego życia – kiedy się dzieci rodziły i kiedy wróciliśmy do Polski.

Na punkcie repatriacyjnym w Grabanowie – Biała Podlaska zaopiekowali się nami tzw. agenci. Pracowali bardzo aktywnie, wyłącznie nad wódką. Pili bez przerwy. Ale karmili nas tam bardzo, myśmy odżyli, dzieci utyły, w końcu sam zdecydowałem – jedziemy w Polskę. Marzyłem o Wrocławiu, bo nie mając kontaktu z prawdziwą matematyką w Pierwomajsku, prenumerowałem *Matiematiczeskij*

*riefieratiwnyj żurnal* – widziałem tam nazwiska lwowskich matematyków, którzy po wojnie osiedli we Wrocławiu, zrozumiałem, że teraz tam jest dobra matematyka. Był i drugi powód mojej decyzji: w Warszawie nie było szans na najskromniejszy ką.

We Wrocławiu zaproponowali mi po długich targach mieszkanie w Sobótce. Daleko. Ale dobry człowiek, kapitan milicji z wydziału paszportowego zakwaterował mnie w tym domku, w którym mieszkam do dziś, na Biskupinie. Nielegalnie, bo ten domek miał przydział milicyjny. Kozubek się nazywał, człowiek-aniół, komunista francuski, w czasie wojny byli z żoną w partyzantce francuskiej.

Ideowiec, bez żadnej łapówki.

## O pracy na Uniwersytecie Wrocławskim

– Z duszą na ramieniu poszedłem do mieszkania profesora Hugona Steinhausa, legendy wśród matematyków, nie muszę tłumaczyć, dlaczego cały z przejęcia drżałem. On przedstawił mnie profesorowi Edwardowi Marczewskiemu, rektorowi Uniwersytetu Wrocławskiego: *To jest pan Bolesław Gleichgewicht, uczeń Kreina, przyjechał z Odessy, przed wojną studiował na Uniwersytecie Warszawskim*. A Marczewski, który przed wojną pracował na Uniwersytecie Warszawskim (nazywał się wtedy Szpilrajn): *Czy pan mnie pamięta?*

Poznałem go po głosie i krzyczę: *pan doktor Szpilrajn!* I pytam: *A czy pan pamięta pańskie zajęcia 19 listopada 1938 roku, na których skatowano studenta, który protestował przeciwko miejscom gettowym?* On: *Nigdy tego nie zapomnę*. Mówię mu: *Tym studentem jestem ja*.

I tak znalazłem się na uniwersytecie. Marczewski zapoznał mnie z profesorem Stanisławem Hartmanem, świetnym algebraikiem i analitykiem, też absolwentem gimnazjum im. Mikołaja Reja, ewangelikiem reformo-



Jewdokija i Bolesław Gleichgewichtowie

wanym, który na wstępie mnie przeegzaminował. Ja nie znałem terminologii polskiej, zamiast *representacja* mówiłem *przedstawienie*. Przeszliśmy, na jego propozycję, na rosyjski. Zatrudnił mnie jako asystenta. Później zaprzyjaźniliśmy się bardzo, on był moim promotorem, przeszliśmy na ty, mieszkał tu niedaleko, razem chodziliśmy w góry, wspaniale chodził, a potem obaj przeszliśmy do opozycji KOR-owskiej. Jego w stanie wojennym aresztowano, ja się ukrywałem, mieliśmy podobne życiorysy. Zmarł 20 lat temu. Nadzwyczajny, uczciwy, odważny człowiek. Był dla mnie wielkim wzorcem.

Byliśmy wtedy w niezwykle ciężkiej sytuacji materialnej – 1100 złotych miesięcznie na czteroosobową rodzinę. A tu dzieci rosną. Tymczasem profesor Maurycy Horn, rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, proponuje mi pracę. Potrzebowali algebraików, a ja przecież z algebry abstrakcyjnej broniłem pracę doktorską. Wziąłem godziny zlecone.

Jest 1963 rok. Pojechałem do Opola. Przyjęto mnie tu nadzwyczajnie. W Opolu pracował wtedy profesor Jerzy Słupecki z Wrocławia, logik, przeporządny człowiek, pamiętam też panią Katarzynę Szczypior (obecnie Hałkowską) i Hannę Langner (obecnie Matuszczyk), Zofię Łebską (to prawda, była łebska). Raz w tygodniu wykładałem w Opolu algebrę abstrakcyjną. Potem miałem pierwszy w historii tej uczelni wykład z rachunku prawdopodobieństwa, wykład monograficzny z analizy funkcjonalnej, prowadziłem parę seminariów. W pierwszym roku pracy miałem dziesięć magisteriów, w tym osiem dziewczyn. W Opolu pracowałem do 1968 r. Nie doznałem tam żadnych szykan! To nieprawda, że mnie wyrzucono na fali czystek antysemitycznych. Po prostu dowództwo Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu zaproponowało mi pracę, na miejscu, za dobre wynagrodzenie. Wykładałem, jako adiunkt, matematykę wyższym oficerom (na początku podchorążym) i wiem, że byłem ich ulubieńcem.

## O Marcu 68

– Jest marzec 1968 r. Myślałem, że mnie natychmiast wyleją z tej uczelni wojskowej. Bo atmosfera zrobiła się gęsta. Ani mnie nie relegowano, ani nic. A świnię straszne wtedy były wśród tych oficerów. Pamiętam, przyjeżdża podpułkownik z Warszawy i opowiada z lubością o tym, jak bili studentów. Jak to usłyszał pułkownik Krzyżanowski, stary AK-owiec, wyszedł z pokoju nauczycielskiego.

Na Radzie Wydziału Matematyczno-Fizycznego Uniwersytetu Wrocławskiego podpisywaliśmy deklarację potępiającą te wydarzenia. Mnie powiedziano: *ty nie musisz, jak nie chcesz, to nie podpisuj*. Ale ja chciałem.

Wtedy z Wrocławia wyjechało wielu dobrych matematyków. Ale okropne rzeczy się działy niestety tak-

że w Opolu – wyrzucono rektora Horna pod zarzutem, że jest syjonistą i nie przejawiał aktywności w czasie marca... Jak mógł przejawiać, skoro miał zawał i leżał w tym czasie w szpitalu? Wyrzucili pułkownika Hellina ze Studium Wojskowego. Grzebali w papierach do trzeciego-czwartego pokolenia.

Z Wrocławia wyjechał wtedy do Ameryki młody Jan Mycielski, później wybitny matematyk. Wyjechał też Włodzimierz Szwarc, do Ameryki. Mnie też wyjazd zaproponowali – profesor Hugo Steinhaus i docent Jan Mycielski. Steinhaus zaprosił mnie do siebie i pyta, czy nie myślę o wyjeździe. *Nie. A może pan nie ma dolarów? Nie mam*. I mówi: *no to już pan ma*. Ale ja jakoś nie potrafiłem wyjechać z Polski, byłem tu taki szczęśliwy. On na to: *Niech pan pomyśli*. Pomyślałem: *nie wyjadę i będę tu, cholera, walczył i przeciwstawił się temu świństwu*. Pieniądze na wyjazd proponował mi też Jaś Mycielski. On był hrabią z pochodzenia, do 1968 r. podróżował często, pozwalano mu, bo zawsze wracał. Ale po 68 r. nie wrócił.

## O rzeczach pięknych i podłych

– Ja się nie habilitowałem. Doktor nauk matematyczno-fizycznych – taki mam tytuł. Moi koledzy, którzy mieli docentury, dostali tytuły profesora. Ja nie. Docenturę miałem dostać w 1968 roku, więc z wiadomych powodów nie dostałem. Ale w parę lat później te krzywdy naprawiono, zostałem docentem w Katedrze Algebry Uniwersytetu Wrocławskiego, miałem też przez pewien czas pół etatu w Polskiej Akademii Nauk.

A potem związałem się z opozycją.

Po wydarzeniach marcowych moje życie przecięły wydarzenia gdańskie. Od 1977 r. byłem współpracownikiem KOR, to była bardzo silna komórka KOR-owska, złożona przeważnie z matematyków, myśmy się spotykali, kolportowali, podpisywali różne petycje. Profesor Stanisław Hartman, Roman Duda, Jan Waszkiewicz, architekt profesor Tadeusz Zipser (późniejszy rektor politechniki)... Skończyło się wesołe życie, nie było mowy o wyjazdach zagranicznych, odbierałem telefony z pogrózkami. Jak byłem poza Wrocławiem, a syn był w wojsku, gdzie go szykanowano, wtargnęli mi tu do mieszkania, niby złodzieje, a nic wartościowego nie zginęło, mimo że precjoza leżały na wierzchu.

Powstało Towarzystwo Kursów Naukowych, czyli Uniwersytet Latający, którego byłem członkiem-założycielem. Zaczęliśmy walczyć o prawa człowieka, o prawa uczonych, prawach studentów... Latem 1980 r. byłem w Zakopanem, bo tam spędzałem zawsze letnie wakacje, kiedy usłyszałem, że we Wrocławiu powstała „Solidarność”. Spakowałem manele, wracam. Na dworcu ktoś mnie zaczepia: *proszę pana, pana syn siedzi*. Bo mojego syna, jako jednego z niewielu spoza Warszawy, aresztowano z sankcją prokuratorską. W tramwaju ktoś inny podchodzi: *pana syna wypuści-*

li. Okazało się, że Wałęsa powiedział, że nie przerwa strajku, dopóki Aleksander Gleichgewicht nie wyjdzie na wolność.

Przyjeżdżam do domu, a tu pełno butelek po wódce i kwiatów. Żona mówi, że przychodziły do nas delegacje robotników

Jeszcze przed wybuchem „Solidarności”, w marcu 1978, był ogromny nalot ubecji na nasze mieszkanie. Bo mój syn urządził spotkanie studentów (w ramach Uniwersytetu Latającego) z Bogusławą Bleifer. Co tu się działo! Wyciągnęli i aresztowali chyba 28 osób, mieli rozprawy. Dostali duże kary, syn musiał wpłacić 5 tys. złotych. I nagle zjawia się u nas jakiś mężczyzna: przyniosłem 5 tys. złotych, zebrałem w zakładzie pracy. Piękne, wzruszające rzeczy się wtedy zdarzały, podłe też.

Niektórzy ludzie zaczęli nas omijać, a niektórzy odwrotnie.

Ciągle rewizje u nas się zdarzały, mieliśmy obstawę. Po co mi to było? Przecież tu chodziło o sprawiedliwość, o prawa człowieka! Nie lubię wysokich słów, ale wtedy trzeba było walczyć o Polskę, nie mogłem inaczej. Przy podpisie pod pierwszą petycją wiedziałem, że będą kłopoty. I były.

I było gęsto od wydarzeń. Telefon z Wałbrzycha: czy chcę być rzecznikiem Komitetu Strajkowego? Chciałem. Przyjechał po mnie górnik strzałowy Jurek Szulc, brałem udział w rozmowach z władzą, zostałem dokooptowany do prezydium. Potem syn mój się zaangażował i Janek Lityński.

Bardzo nieprzyjemna historia się wtedy wydarzyła, niestety związana z Opolem. Bo w 1980 roku opolski oddział Polskiego Towarzystwa Matematycznego zaprosił mnie do Opola na dwa odczyty: dla fachowców z algebry i dla matematyków innych specjalności. I jak już się przygotowałem, dostałem list, że bym nie przyjeżdżał, bo... nie ma audytorium. Ta sprawa stała się głośna, poruszano ją później na zjeździe matematycznym w Białymstoku. Bardzo mnie ta historia zabolęła, ja lubiłem Opole, tym bardziej, że w Marcu nie doznałem tam żadnej przykrości.

Ponieważ szef uniwersyteckiej „Solidarności” przebywał za granicą (to młody, obiecujący docent, fizyk teoretyk), ja go w tym czasie ciągle zastępuję. Strajk bydgoski, potem radomski... Ogłaszają stan wojenny. Przechodzę do podziemia. Rozsyłają za mną list goń-

czy (studenci matematyki wklejali go później do napisanego przeze mnie podręcznika *Algebry...*).

Nasz kochany rektor profesor Józef Łukaszewicz, też całą duszą opozycjonista, daje mi zwolnienie naukowe na pół roku (po tym czasie mnie wyrzucają z uczelni, a jego zdejmują z rektorstwa). Ukrywam się przez rok, cały czas kierując uniwersytecką „Solidarnością”. We Wrocławiu, a potem w Warszawie, do grudnia 1982. Zapaściłem wąsiki. Poprzez ks. prof. Michała Czajkowskiego byłem związany z wierchuszką „Solidarności”, m.in. Romaszewskimi. Ksiądz Czajkowski – wspaniały człowiek, niestety okazał się tajnym współpracownikiem... Ale on mnie chronił.

Spotkałem w swoim życiu kilku tajnych współpracowników, tylko jeden z nich był podły.

Episkopat nalegał, że bym się ujawnił: *Stan wojenny się kończy, jak się teraz nie ujawnisz, to będzie potem trudno. A syn siedzi, żona nie pracuje, dwóch wnuków ci się urodziło.*

Przedstawiciele Rady Prymasowskiej podjęli rozmowy z Kiszczakiem. Za drugim razem wyraził zgodę na moje dobrowolne ujawnienie, kazał zgłosić się do zastępcy szefa ds. politycznych Komendy Wojewódzkiej Milicji we Wrocławiu. Nie mogłem po drodze dać się złapać, bo przecież ciągle obowiązywał list gończy. Na Podwale jechał ze mną ówczesny rektor Kazi-



Prof. Bolesław Gleichgewicht ze swoimi dawnymi studentami, absolwentami matematyki opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (od lewej): dr Zytą Dziechcińską-Halamodą, Krzysztofem Borkowskim i Heleną Czykietą-Konik (fot. Voja Gleichgewicht). Kwiecień 2013 r.



mierz Urbanik i prorektor Władysław Narkiewicz, a za nami samochód, prawdopodobnie wywiadu, który pilnował, żeby nie zgarnęła nas milicja. Przesłuchiwało mnie dwóch. Pułkownik Nowicki, szef SB ds. uczelni wyższych – w jednym pokoju. A w drugim miły pan z bródką. To była klasyczna akcja: zły i dobry policjant. Ja to znałem, bo przecież siedziałem w łagrze sowieckim, gdzie przesłuchują o wiele skuteczniej. Rozmawiamy z „miłym, z bródką” dwie godziny, wpada Nowicki i burzy wszystko. Ja: *my tu miło rozmawiamy, a pan w nic nie wierzy*. On na to: *Nie wierzyć to mój zawód!* Ja: *ale pana kolega wierzy...* Odprowadzili mnie potem do prokuratury, ja odmawiam zeznań... Dają mi do poczytania moje akta. Długo czytałem, ogromny tom. Śmiałem się czasem. Bo np. dzielnicowy zeznaje: *profesor taki a taki, wódki nie pije* (też niezupełnie prawda), *nie bije żony, należy do nielegalnych antysocjalistycznych organizacji*. Potem zeznanie opiekuna uniwersytetu: *Przychodzi do pracy trzeźwy, w pracy nie pije*. Oni byli wyćwiczeni na jakichś patologicznych bandziorach. Proces trwał chyba dwanaście miesięcy, przy pełnej sali. Pełno śmiechu przy tym było, bo robiłem durnia z pani prokurator. Pyta: *a pan w Związku Radzieckim był w komsomole i w partii, to jak to się stało, że pan się stał antykomunistą?* Ja na to: *tylko krowa nie zmienia poglądów*. Niby nic śmiesznego, ale wyjątkowo duża to była kobieta, publiczność jakoś ją z tą krową utożsamiała... Mój obrońca Stanisław Afenda, jeden z dwóch, którzy bronili też Frasyńniuka, powiedział mi: *to jest proces polityczny, pana nie uniewinnią*. I rzeczywiście, dostałem rok w zawieszeniu, założyliśmy apelację. Wyrok utrzymano, starto go dopiero po upadku komuny.

Po procesie nie miałem z czego żyć, pomagała mi „Solidarność”, trochę Kościół.

Odmówiono mi powrotu na uniwersytet. Nawet na posadę bibliotekarza, jak proponowałem. Albo jako szatniarza. Też nie, było im wstyd.

Do 1984 roku nie pracowałem. Wtedy matematycy amerykańscy zaczęli rozsyłać w mojej sprawie pisma protestacyjne. Po nich matematycy francuscy, m.in. Laurent Schwartz, wielki matematyk. Moja sprawa była też omawiana na posiedzeniu amerykańskiego Towarzystwa Matematycznego. W 1982 r. był zaplanowany światowy zjazd matematyków w Warszawie, ale nie mógł się odbyć, bo ogłoszono stan wojenny. Odbył się więc rok później. Byłem na nim. Każdy z wykładów plenarnych dedykowano jakiemuś prześladowanemu matematykowi. Matematyk francuski Thessyer napisał na tablicy moje nazwisko, poświęcił wykład mnie właśnie. Tej sprawy nie można już było zostawić.

Zgodzili się na moją pracę w Polskiej Akademii Nauk, w Instytucie Matematyki, na stanowisku niższym niż przedtem, adiunkta. Przykro mi było, ale się zgodziłem, zacząłem tam dojeżdżać na seminarium. Książeczkę wtedy napisałem, z dydaktyki matematyki. Po roku przeniesiono mnie na bardzo nędzną emeryturę. Nędzną, bo straciłem staż pracy.

Tymczasem, Bogu najwyższemu dzięki, padła komuna.

Przywrócono mnie do pracy na Uniwersytecie Wrocławskim. Rektor mnie zaprosił do gabinetu, był tort, kawa. Ale pod tym pismem przywracającym mi i docenturę, i prawo do pracy, było drugie pismo: o skierowaniu mnie na emeryturę. Bo właśnie stuknęło mi 70 lat.

Zostałem emerytem, ale dali mi pół etatu, potem godziny zlecone, gdzieś do 2000 roku prowadziłem jeszcze wykłady. Ja bardzo lubiłem wykładać.

## O tym, czy było warto

– Czy warto było? Warto. Gdybym miał jeszcze raz moje życie powtórzyć, powtórzyłbym. Nie jestem szaleńcem, ale wolę to od największej kariery naukowej. Jestem bardzo dumny, no trudno, jestem, z tego co się stało. Ja i moje dzieci. Za pracę w opozycji syn mój Aleksander dostał Krzyż Oficerski, córka Helena Kawalerski, ja Komandorski. A moja żona trzymała w kłamrze cały dom. Ja się czasem kłóciłem z ubekami strasznie, ona mówiła: zostaw, to jest poniżej twojej godności. Raz tylko nie wytrzymała. Jak znowu przyszli mnie szukać, akurat myła podłogę, odwróciła się do nich, podniosła sukienkę i wypięła się na nich. A przychodzili mnie szukać i dwa razy w tygodniu.

W tych najgorszych latach wszyscy myśleli: jak to się skończy, będzie raj, a wszyscy będą szlachetni.

To iluzja. Ludzie nie są idealni, świat też nie. A jednak uważam, że jest dużo lepiej: nie mamy cenzury, nieuzasadnionych aresztów i prześladowań, nie mamy totalitaryzmu, mamy kontakty z zagranicą, wyjeżdżamy... Materialnie Polska rozkwitła, Wrocław tak wypiękniał, że trudno sobie wyobrazić, Opole pewnie też? Jest dużo rzeczy, które smuć. Koledzy, także z opozycji, mówią czasem: jest gorzej, jak za komuny. Nieprawda! Mówię tak, bo tak myślę, nie dlatego, że chcę siebie usprawiedliwić, bo część życia oddałem tej sprawie.

Moje życie nie było łatwe, ale nie skarzę się. Na pewno nie było leniwe. To było dobre życie. Ożeniłem się z kobietą, którą bardzo kochałem. 61 lat przeżyliśmy w jednym stadle, a przedtem znaliśmy się osiem lat, mamy udane dzieci, było nam ze sobą dobrze. Jej śmierć była dla mnie wstrząsem. Napisałem kilka książek matematycznych, skrypt dla studentów i około 30 prac...

No jak tu nie być dumnym z tego?

Niedawno psycholog, student, robił ze mną wywiad. Cały czas gadałem. A na koniec on spytał: *kim pan jest?* Trudne pytanie. Zaskoczył mnie. Po chwili powiedziałem: *człowiekiem*.

Chyba dobrze odpowiedziałem?

Barbara Stankiewicz